№ 16. 17. Kwietnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z powodu wystawy krajowej.

Jak w biednej rodzinie wydatek nadzwyczajny robiony jest z trwożliwem wyrachowaniem, żeby się stał najprodukcyjniejszym, tak i nam, skoro uznaną została konieczność urządzenia wystawy, należy myśleć nad tem, jak ją urządzić, żeby przyniosła dla kraju jaknajwięcej korzyści.

Na wystawie tej zebrać ma społeczeństwo owoce pracy swojej w zakresie kultury materjalnej i duchowej. Postępy w dziedzinie rolnictwa, przemysłu, handlu powierza ono współzawodniczej pracy jednostek i te w interesie własnym nie omieszkają działalności swojej przedstawić jak najdokładniej; kultura materjalna w większej części ma zapewnionego dzielnego wystawcę zbiorowego — kapitalistę. Inaczej rzecz się ma z kulturą duchową; tutaj wystawcą musi być społeczeństwo samo w postaci państwa, instytucji publicznych, lub odpowiedzialnej za postęp społeczny inteligencji. Do niej właściwie, w postaci jakiegokolwiek organu działać ona będzie na wystawie — bezpośrednio, lub oddziaływać na nią przez prasę, — do inteligencji należy uzupełnienie planu tego działu wystawy, by w nim odbiła się cała nasza działalność na polu oświaty i cywilizacji, im staranniej urządzoną będzie ta część wystawy, tem większą wartość będzie miała cała wystawa. Tu właśnie będzie czas i miejsce zmierzyć utajoną w społeczeństwie siłę ducha i przekonać się, czy — pomimo złych warunków — duch ten żyje jeszcze i czy rośnie, czy mamy w nim zapewnione życie lepsze, czy też płuca są za słabe na rozdmuchanie pozostałych iskier życia. Rozchodzące się po kraju wiadomości o wystawie budzą powszechne zainteresowanie, mianowicie te z nich, ktore dowodzą o zabiegach wystawcy-społeczeństwa. Ogół myślący i czujący potrzebę ożywienia moralnego, oczekuje od Lwowa w r. 1894 bilansu pracy społecznej na wszystkich polach. Chce się dowiedzieć, czy postąpiliśmy od czasu wystaw poprzednich w czemkolwiek, czy myśl inteligencji, pracującej nad poprawą stosunków w kraju, wyrobiła przez ten czas jaki nowy szczegół w systemie pracy ogólnej, poprzednio nieznany.

Komitety wystawowe biorą na się przed ogółem ciężką odpowiedzialność:

1. że nie przeoczą niczego, co społeczeństwo wypracowało dla poprawy stosunków;

2. że przedstawią tę trudną do uchwycenia pracę w takiej formie, że nieświadomy jej ogół uchwyci jej ideę i rozniesie ją po kraju.

W takim tylko razie wystawa osiągnie cel najważniejszy — wzmocni wiarę społeczeństwa we własne siły, w doniosłość prywatnych usiłowań. Nieudana próba wywrze skutek przeciwny — zamiast pobudzić, zdemoralizuje. Tu leży ciężar odpowiedzialności.

* * *

Oświata ludu pochłania u nas coraz więcej uwagi publicznej. Zdaje się, że z programów społecznych to jedno hasło powtarzają zgodnie wszyscy: oświecajmy lud! Na pozór na haśle się nie kończy, stwarza ono ruch w inteligencji, organizującej się nawet w celu pracy nad oświatą w stowarzyszenia. Powstałe w roku ubiegłym instytucje świadczą wymownie o popularności hasła, a to co zrobiono dotychczas — o dobrych chęciach ogółu. „Szkoła ludowa“, „Fundacja im. Kościuszki“ są wyrazem pracy wewnętrznej społeczeństwa, jeżeli nie nad ludem, to nad uświadomieniem siebie samego co do potrzeby popierania oświaty. Instytucje te pracowały dotąd nad sobą w celu ostatecznego uformowania się, nie nad ludem, ani nawet teoretycznie nad systemem oświaty; lecz po za niemi trwała w dalszym ciągu praca nad ludem, dawniej zaczęta i rozproszona w drobnych prywatnych usiłowaniach; pracowano również teoretycznie, żeby dawny system oświecenia, pełen wad starych, odświeżyć.

Nadchodząca wystawa we Lwowie powinna nie tylko zobrazować pracę nad oświatą ludu w formie dotychczasowej, lecz — korzystając ze zjazdu gości ze wszystkich stron kraju — dać impuls do wprowadzenia zmian w sposobach oświecania wedle wskazówek krytyki.

W roku zeszłym ukazały się w Galicji dwie broszury, mające na celu uzupełnienie znanego u nas systemu oświaty ludowej jedna, we Lwowie p. n

Załoba narodowa i możliwe czyny dla ludu pod wezwaniem T. Kościuszki napisał K.; druga w Krakowie, jako odbitka z *N. Reformy*, p. n. W sprawie oświaty ludu wiejskiego.

Autorowie tych broszur wyrażają zgodnie tę myśl, którą krytyka w prasie wypowiedziała:

1). że dotychczasowy system oświaty ludowej zapomocą szkółek i druku jest niewystarczający;

2). że kształcić trzeba szybko całe masy ludowe bez względu na wiek ludności i bez względu na to, czy znają alfabet, czy nie.

3). że rozmaite są właściwości umysłowe mas, rozmaite potrzeby i drogi cel zaspakajania, że przeto system oświaty musi być składany, a mianowicie:

4). nie zaniedbując dawnych sposobów, oświatę szerzyć trzeba zapomocą wykładów ustnych (uniwersytety ludowe w Anglji i Skandynawji), a obok tego stworzyć system muzeów ludowych (Francja).

Muzea ludowe i wykłady popularne jako sposoby oświecania mas, nie są na świecie nowoś ią. są to rzeczy wypróbowane, jeżeli nie u nas (jak sporadyczne wykłady), to za granicą w krajach cywilizowanych.

Jeżeli kraje oświecone, gdzie analfabet jest rzadkością, pracują bez przerwy nad rozwojem systemów oświecania i wynajdują a szerzą coraz nowe sposoby popularyzowania wiedzy, czy nie należy naśladować ich nam, w kraju, gdzie $^3/_4$ ludności nie zna absolutnie korzyści oświaty?

Położenie jest tak smutne, że na myśl o wystawie krajowej rodzi się pytanie: co wystawiać będziemy, żeby się pochwalić naszą kulturą i cywilizacją, jeżeli nie możemy wystawić świadectwa. że mamy lud oświecony?!

Gdy jednak postanawiamy urządzić wystawę, to przynajmniej wystawmy w niej sobie świadectwo poczytalności społecznej, że z nędzy naszego bytu zdajemy sobie sprawę, że myślimy o niej i pragniemy z niej się wydobyć.

Świadectwo takie wystawilibyśmy sobie, użyczając jaknajwięcej miejsca na wystawie sprawom oświaty, a w dziale tym — na spopularyzowanie nowych sposobów oświecania. których konieczność uczuwamy.

* * *

(Dokończenie nastąpi.)

Polityczne stosunki na Szlązku.

napisał

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

Difficile est satiram non scribere.

Uważam za stosowne zastrzec się uroczyście, że wszystko, co na bajkę zakrawa, jest jednak najrzetelniejszą prawdą, zgoła fantazją nie zaprawioną. Rzeczywiście cechę nieprawdopodobieństwa nosi na sobie fakt, że Polacy szląscy, stanowiący ogromną większość ludności tej prowincji austrjackiej, są w politycznym ucisku napływowych Niemców.

Siedziba rządu krajowego znajduje się w Opawie, gdzie oczywista żywioł niemiecki jest znacznie silniejszy. niż w Cieszynie, dajmy na to. Sejm odbywa tam posiedzenia, a Wydział krajowy ma w Opawie swoją rezydencję. Już ten fakt, choć pozornie małej wagi, posiada jednak wielkie znaczenie. Niemiecka stolica prowincji usprawiedliwia sporo rzeczy, któreby w przeciwnym wypadku mocno razić musiały. Większość sejmu szląskiego stanowią Niemcy; Słowianie posiadają tylko sześć mandatów — polacy trzy i Czesi trzy. Z tej przyczyny interesy i życzenia ludności polskiej bardzo rzadko i w małym stopniu bywają uwzględniane. Ale bywają — przy pomocy dziwnego zaiste kompromisu posłów słowiańskich z Niemcami, reprezentującymi interesy większej własności ziemskiej. Niemcom tym, zostającym ustawicznie w bezpośrednich stosunkach z wiejskim ludem polskim zależy nieco na jego dobrobycie. Dlatego przedstawiciele większej własności niejednokrotnie we własnym, dobrze zrozumianym interesie głosują razem z posłami słowiańskimi przeciwko niemieckim posłom z miast. Bądź co bądź jednakże posłowie słowiańscy zależą w zupełności od dobrej albo złej woli Niemców i sami przez sie nic nie stanowią. Co najwyżej podczas każdej sesji sejmowej przemawia któryś z Polaków dla zasady po polsku i na tem koniec. Obecnie o powiększeniu posłów Polaków i mowy nie ma, gdyż w miastach mają Niemcy wpływ przeważający, o złamaniu którego na razie i marzyć nie można. Tak więc widzimy, że Polacy szląscy samorządu są zupełnie pozbawieni i to nie tylko samorządu krajowego ale nawet powiatowego. Trzeba bowiem wiedzieć i pamiętać, że na Szląsku cieszyńskim nie istnieją wcale rady powiatowe, gdyż byłyby czysto polskie. Konstytucja istnieje na Szląsku tylko dla Niemców, a dla Polaków nie. W Wydziale krajowym zasiada jeden Polak, poseł na sejm i do Rady państwa, ks. Swieży. Dięki nadzwyczajnym wysiłkom udało się wybrać ks. Świeżego do Rady państwa z kurji mniejszej własności. Miasta i do Rady państwa Polaka wybrać nie mogą. Cieszyn naprzykład połączony jest z kilku niemieckiemi miasteczkami Szląska opawskiego, wskutek czego wyborcy Polacy kompletnie są sparaliżowani. Ważnym czynnikiem politycznym na Szląsku są stosunki społeczne, o których dla wyjaśnienia sprawy słów kilka niezbędnie powiedzieć muszę. Są one zresztą same przez się ciekawe.

II. Włościanie szlązcy są w porównaniu do galicyjskich a nawet bezwzględnie zamożni, skoro najuboższy posiada 8 10 morgów dobrej

urodzajnej ziemi. Niemało jest włościan 20 i 30-stomorgowych, a są i tacy, którzy posiadają po 80, 100 i 120 morgów gruntu. Do tego dodać trzeba, że uprawa tu umiejętna i rezultaty gospodarki poważne. Konie i bydło rogate nie tylko nie jest gorsze, ale nawet lepsze, niż w niejednym szlacheckim dworku galicyjskim. A zabudowania gospodarskie rzeczywiście podziw i zazdrość budzą! Zaraz w początkach wycieczki udałem się do wsi Sibicy, o pół godziny pieszej drogi od Cieszyna leżącej, gdzie mieszka znany włościanin szląźki, Jan Glajcar, ewangielik. Nie zastałem p. Glajcara w domu, gdyż miał jakieś zajęcie w polu. Lecz p. Glajcarowa poprosiła mnie uprzejmie do pokoju i ugościła talerzykiem winogron z własnego sadu Na stole znalazłem stos egzemplarzy *Kurjera Lwowskiego* i *Rolnika szlązkiego*. Nad łóżkiem wiszą w ramy oprawne uznania od gminy ewangielickiej dla p. Glajcara, jako długoletniego, osławionego prezbitera i od »Tow. Domu narodowego« jako dla gorliwego członka i dobrego obywatela. W sąsiedniej, dużej izbie stoi ogromny owalny stół, mała biblioteczka, apteka homeopatyczna, dużo innych sprzętów domowych, a na ścianach wiszą obrazy, portret Mickiewicza i oprawne za szkłem nagrody z rozmaitych wystaw, które p. Glajcar otrzymuje za wzorowy chów bydła, za okopowiny i. t. d. Zatrzymany przez uprzejmych gospodarzy na obiad, miałem sposobność przekonać się, że p. Glajcar zna doskonale nie tylko sprawy szlązkie, lecz i galicyjskie, że o nich swoje wyrobione zdanie ma i że jest istotnie obywatelem w całem tego słowa znaczeniu. Po obiedzie poszliśmy do sąsiada p. Franciszka Górniaka, osobistości wysoce zajmującej. Chłop szlązki, jak się p. Górniak sam nazywa, człowiek nie tak bogaty, aby go stać było na wyższą edukację, wskutek czego skończył tylko szkołę ludową, wpadł na szczęśliwy pomysł założenia cegielni, której właścicielem jest już od lat sześciu. Zacząwszy z niczem prawie, dziś wypala dwa miljony cegieł rocznie; oprócz tego ma fabrykę dachówek, do wyrabiania których sam sobie skontruował przyrząd, i rurek drenowych. Pan Górniak zatrudnia 50 ludzi, dla których wystawił dom z systemem celkowym. Obecnie zaś stawia dom dla siebie i zabudowania gospodarskie także. Oczywista wszyscy włościanie w Sibicy murują domy z cegły sąsiada Górniaka, i pokrywają jego dachówką. Okolicznościowo tylko wspomnę, że wszystkie wsi szlązkie są porządnie murowane i nie wyglądają tak strasznie biednie, jak nasze galicyjskie. Ale wracajmy do p. Górniaka, człowieka bardzo rzutkiego i przedsiębiorczego. Nie rozumie on jakim sposobem lud w Galicji może w ogóle żyć wobec tego, że podział gruntów dochodzi do ostateczności. Dziwił się, jak można powstrzymywać emigrację ludu galicyjskiego, który ma do wyboru między powolną śmiercią głodową a szukaniem chleba za granicami Ojczyzny.

(Dokończenie nastąpi.)

JAN KASPROWICZ.

Z gawęd i opowiadań.

I.

Jan Rudawski.

Różni bywają na ziemi udkowie —
Tacy i tacy: jednych Pan Bóg stworzył,
Że mają więcej rozumu w swej głowie
A innym znowu coś takiego włożył
Czy wlał do wnętrza, co niby na zdrowie
Nie zawsze onym biedakom wychodzi,
Zwyczajnie jakąś miękkość, z której ból się rodzi.

* * *

Mówię biedakom, bo juścić na świecie
Jest to wiadomem, że w wysokiem stanie
Zbytniej czułości nigdy nie znajdziecie:
Wielcy panowie i szlachetne panie,
Dla których żywot z samych róż się plecie,
Więcej na rozum biorą wszystkie sprawy —
Ha trudno, tak już, widać, chciał Stwórca łaskawy.

* * *

Jakto? twierdzicie, że niby w tej chwili
Nieco za ostry o nich sąd wydaję?
Stary jest ze mnie wyjadacz, patrzyli
Na mnie ludziska, jakom w życiu staje
Przeszedł niejedno, jako, moi mili,
I do pałaców znajdowałem drogę,
Więc o tem sprawiedliwie coś orzeknąć mogę.

* * *

Prawda! zawlec pod wyniosłe wrota
Jakowyś nędzarz swoje zbite kości,
Tak i w nich, bywa, rozbudzi się cnota,
Że mu kęs chleba podadzą z litości,
Albo szmat jakiś.. Ano, nie dziwota:
Jako ten oset, co zalega pole,
Tak nędza i najtwardszych czasem w oczy kole.

* * *

Ale by rzucić pałacowe progi,
By wstać od srebrem zastawionych stołów
I między naród pospieszyć ubogi,
Jak ten rybitwa, co idzie na połów
Serc i dusz bratnich i na żadne głogi,
Na żadne głazy raniące nie zważa,
To, mówię, wam, w tym świecie rzadko się wydarza.

* * *

Jednegom tylko znał wielkiego pana,
Którego pamięć jest mi jak wyryta,
Choć od tych czasów została obsiana
Ta nasza ziemia świeżem ziarnem żyta
Z pięćdziesiąt razy.. Podarta sukmana,
Na którą inni z jawnym patrzą wstrętem,
Dla niego była czemś prawdziwie świętem.

* * *

Widać, rozumiał Chrystusa orędzie,
Choć o niem głośno nie mówił nikomu,
Jak się to działo, o, i dziać się będzie
Niejednokrotnie w pobożnisiów domu...
Czyn, a nie słowo, miał zawsze na względzie,
Tak też nie z słowem, ale zawsze z czynem
Szedł równać się pospołu z pogardzanym gminem.

* * *

Kiedym go poznał, mówię wam, był młody
Jako ten buczek, który w boru rośnie...
Po ojcach posiadł sady i ogrody,
Pola i łąki, mieniące się w wiośnie
Zbożem i trawą i kwiatem Miał trzody
I stada owiec bieluchnych; miał cugi
W uprzężach z srebra kutych i rozliczne sługi..

* * *

Właśnie był wrócił z dalekiego świata,
Gdzie od lat kilku jeździł po nauki.
Wnet też, powitać chcąc szlachcica-brata,
Jęli się zbiegać sąsiedzi, jak kruki:
„Nie'ada bal nam wyprawi do kata!
Człowiek“ — mówili — „rad z kielicha chłepce,
A z niego pan! Zwyczajów pańskich nie podepce!“.

* * *

I rwetes powstał między sąsiadkami:
Nuż uczyć córy, jak sznurować usta,
Jak strzelać oczkiem; wszak pieniądz nie plami,
A Jaś Rudawski to partyjka tłusta,
Wart milionik; trzymać go zębami,
Choćby się miały nadwerężyć zęby —
Ha! może przecież kogoś przyśle w dziewosłęby.

* * *

I wnet, jak spojrzeć, cała okolica
Zmieni się w jedno ogromne wesele:
Tu obiad suty, tam znów wieczornica,
Do tańca huczą żydowskie kapele;
Aby miennego ugościć dziedzica,
Każdy, choć z resztą grosza się szamoce,
Sprowadza z obcych krajów trunki i owoce.

* * *

Ale mój panicz wcale się nie szasta:
Szlachcie za pamięć podziękuje słowem,
A gdy się która nawinie niewiasta,
By się nieznacznie, niby dobrym chowem,
Pochlubić córką, skłoni się i basta!
Jakby miał woskiem zalepione uszy,
Tak nic go, niby skrzypiec bez strun, nie poruszy.

* * *

„Kutwa, dusigrosz“, — poczęli sąsiedzi
Coraz to głośniej szydzić w swojem kole;
„Więcej ma złota, niźli inni miedzi,
A jadłby z żłobu przy ośle i wole...“
Czasami nawet ten i ów pobredzi,
Że, coś mu, widać, cięży na sumieniu,
Gdy ludzi tak unika, gdy się chowa w cieniu.

* * *

Lecz Jan Rudawski nie unikał ludzi
I lica swego nie trzymał w ukryciu;
Tylko się do tych, bywało, nie trudzi,
Którzy przenigdy nie sieli w swem życiu,
A wciąż chcą zbierać — do tych, których nudzi
Skrzętność i praca mrówki albo pszczoły,
A pełne miećby chcieli spichrze i stodoły...

* * *

Rano, nim jasne rozlały się zorze,
Zanim się ptactwo pobudziło w boru,
Pan z panów rzucał skórą kryte łoże,
I dalej w pole z kamiennego dworu —
W prostym sieraku: ekonom nieboże
Więcej się w swojej miłował postawie,
Niż dziedzic na Rudawkach, Rudkach i Rudawie.

* * *

Ale nie tylko własnemi oczyma
Dojrzy, gdzie co i gdzie co leży;
Nieraz bywało, sam pługa się ima,
Lub, jak parobek, za broną pobieży,
Albo snop zwiąże... Z ludziskami trzyma
Jednaką rękę: „z ziemi“ — mawiał — „żyję,
Więc niechaj święta ziemia i mój pot też pije...“

* * *

Ludzie, jak ludzie, od prastarej doby,
Kiedy im rozum harapem wlewano,
Do czapkowania na różne sposoby
Mocno przywykli, poczęli kolano
Zginać i przed nim, by jak od choroby
Żegnać się potem i splunąć gdzieś z boku,
Ujrzawszy, że już „parch ten“ nie ma ich na oku.

* * *

„Hej! moiściewy“ — tak do nich wyrzecze —
„Święci mi żadnej jasności nie dali,
A zaś wielmoże, jak wszystko, co człecze,
Co jest śmiertelne, bywali, bywali!
W wilgotnym grobie skruszały ich miecze,
Mąką z ich kości posypują ziemię,
A pamięć o niektórych gdzieś tam w księgach drzemie“.

* * *

Ano, z początku było nie do wiary,
Że niby szlachcic zniża się do chłopa:
„Widno, kpi sobie“ — tak niejeden stary
Pomyśli fornal; — „wszakże jego stopa
Na to stworzona, by deptać nam bary,
A ręka jego, by wymierzać razy,
A język jest ci na to, by dawał rozkazy...“

* * *

Ale Rudawski w ten moment ich uczy,
  Jako pisano w Chrystusowem prawie,
Że pycha ludzi przenigdy nie tuczy,
  I że co człowiek, pracujący krwawie,
Równy jest z drugim, a gdy los poruczy
  Jednemu z bliźnich o garść więcej ziarna,
Dla innych niech je sieje dłoń od pracy czarna.

* * *

„Mam ci ja — mówił — dobytki, mam brony
  Pługi i radła, cepy i kosice,
Ale te pulchne i tłuste zagony,
  Które mi sypką wydają pszenicę,
Waszych mi ojców pot wymierzwił słony:
  Nie panem jestem, lecz jednym z włodarzy,
Co stoi na wspólnego mienia twardej straży...“

* * *

I wspólne mienie wnet ku wspólnym celom
  Począł obracać; chłopom pobudował
Chaty, aż oczy, jak dzień, się weselą..
  „Odkąd się człowiek — mawiał — w norę schował
Zmienił się w zwierzę; Bartoszom i Grzelom
  Tak samo trzeba światła i powietrza,
Jak panom Artiurom, choć ich twarz jest bledsza“.

* * *

I tak się stało, że odtąd pokrzywą
  Lud się nie karmił roboczy; dostatek
Chleba żytniego i strawę godziwą
  Zawsze miał w domu, nawet mięsa płatek,
A w życia swego chwileczkę szczęśliwą,
  W dzień chrztu lub godów, mógł zabić i wieprza —
Tak jemu naraz dola zaświtała lepsza.

* * *

Gdy między braćmi wynikną niesnaski,
  Gdy sąsiad zelży lub skrzywdzi sąsiada —
„Bracia jesteście!“ — wyrzeknie Rudawski —
  „Wszak się sąsiadom waśnić nie wypada“.
I słowa jego, jak słoneczne blaski,
  Braciom wnet lica rozpogodzą gniewne,
I sąsiad złe naprawi tej chwili napewne.

* * *

Zdarzy się nieraz, że we wsi ktoś chory,
  Śpieszy z pomocą, jak posłaniec boży;
Zanim z mieściny przyjadą doktory,
  Sam wnet opatrzy, sam okład przyłoży;
Nawet do posług najniższych tak skory,
  Jak gdyby życie przepędził w szpitalu —
Widocznie miłosierdzie miał w każdziutkim calu.

* * *

„Ludzie“ — tak mawiał — „równi z przyrodzenia;
  Zwykły najemnik, książęta wyniośli
Z Adamowego wyszli pokolenia,
  Jak z pnia jednego pęki latorośli...
Ale światłości potrzeba strumienia,
  W żywej nauce trza skąpać rozumy,
By chłop, że równy panu, poznał czar tej dumy“.

* * *

I murowaną wnet szkołę wystawił,
  I dzieciom chłopskim książkę w rękę wciska,
A gdy się w którem dar boży objawił,
  W świat je posyła, do wiedzy ogniska.
Węszył talenty i jak chart się wprawił —
  „Zresztą — powiadał — znaleść sprawą łatwą:
Są siły niespożyte między chłopską dziatwą“.

* * *

Takim był, wiecie, Rudawski, pan z panów...
  Szlachta z początku jęła kręcić nosem,
Śmiać się, że wieś swą zamienił w Pacanów,
  Że cham nie drzewem ale książek stosem
Będzie podpalał w kominku: „z baranów“,
  Z swojskich baranów trudno jest niestety!“ —
Szydziła sobie szlachta — „zrobić rambuljety..“

* * *

Lecz gdy z pisklęcia wypierzył się sokół,
  Gdy stado bydła zmieniło się w ludzi
„Wyrodek z niego! — krzyczano naokół,
  „Tradycję ojców przeniewierczo brudzi!
Tłum pisma uczy! O, za to protokół
  Wartoby spisać z nim — na jego skórze:
Wszak nas chce on mieć dołem, a ród chamski w górze!„

* * *

I rozpoczęli szukać jawnej zwady,
  Mścić się na chłopach — jemu na przekorę:
Tak zwykle bywa, że nie znajdziesz rady
  Dla ludzkiej złości; gdy w nieszczęsną porę
Krew się zaburzy, czem wówczas zasady
  I czem jest cecha człowieczeństwa wzniosła?
Człek wtedy się nie wzdryga przed — kopnięciem osła!

* * *

I tak się stało, że pewien wąsaty
  Szlachcic z wyrazem patryarchy w twarzy,
Mający w rodzie setne antenaty,
  Sam, Rudawskiego gdy mu los nadarzy,
Jednemu z chłopów swych wymierzył baty,
  Szydząc: „mój panie! jam z garbarzy rodem;
Garbuję chłopskie skóry, pan je smaruj miodem“.

* * *

Ano zawrzało w Rudawskim: na lica
  Kraśny wystąpił rumieniec... I z duszy
Wyrzucił słowo, zowiące szlachcica
  Wręcz po imieniu... Nazajutrz śród głuszy
Leśnej, gdzie w krzyż się z przecznicą przecznica
  Łączy piaszczysta, na jasnej polanie
Do walki dwóch pokoleń dwu szermierzy stanie...

* * *

I padł Rudawski i dziś — lata płyną
  I mnie już dawno posiwiały włosy —
Nad grobem jego wieczorną godzinie,
  Gdy cichy wietrzyk z traw otrząsa rosy,
Samotna wierzba chyli głowę siną
  I szumi, szumi pieśń o tej potędze,
Co brata dostrzec w chłopskiej umiała siermiędze...

Wielkość małych rzeczy.

przez

Bolesława Prusa.*)

...Praca społeczna to rozumiem! — mówił Solski — W pracy społecznej potrzeba być artystą i jak rzeźbiarz lepić, albo wyciosywać z ludzkich gromad — posągi... Waszyngton, Napoleon I., Cavour, Bismark, to artyści społeczni, to praca... Ale budowanie cukrowni i wyciskanie buraczanego soku... brrr!...

— Dziwna rzecz — odezwał się Dębicki. Bismark artysta, ponieważ należał do tych, co zbudowali państwo niemieckie; ale organizator fabryki nie artysta, ponieważ tworzy tylko fabrykę. Wypadłoby stąd, że większy honor złapać wieloryba, aniżeli stworzyć wróbla. Mnie się zaś zdaje, że drugie jest trudniejsze i że ten, kto zbudowałby porządnego wróbla, byłby artystą godniejszym podziwu, aniżeli łowca wielorybów.

Solski, oparłszy się plecami o poręcz krzesła, wyciągnął nogi i patrzył w niebo. Był obrażony, ale Dębicki, nie zważając na to, mówił dalej:

— Tymczasem u nas nikt nie chce rozwijać swojej siły twórczej za pomocą budowania małych wróbelków, które przecież są organizmami żywemi; lecz koniecznie życzy sobie na własną rękę konstruować wieloryby, dla których nie ma ani miejsca, ani czasu, ani nawet materjału. Ludziom zdaje się, że świat potzebuje tylko dzieł nadzwyczajnych, a bodajby rojeń o nich; świat zaś przedewszystkiem potrzebuje twórców, choćby w najszczuplejszym zakresie pracy. Wynalazca nowego sztyfta do butów jest wart więcej, niż stu marzycieli o *perpetuum mobile;* organizator rzeczywistej cukrowni wywołuje większy ruch między ludźmi, aniżeli stu chronicznych kandydatów na Bismarka... Spróbójcie no stworzyć wzorową rodzinę, sklep, spółkę, warsztat, fabrykę, a przekonacie się, że i to jest posąg nie odlany, lecz pracowicie ułożony z ludzkich jednostek... Co to posąg!... raczej pełen życia organizm wyższego rzędu. Kto takie figury buduje nie rutynicznie, tylko z planem i świadomością, ten wznosi się ponad Fidjaszów i Michałów-Archaniołów i nie ma czego zazdrościć Bismarkowi, który w sprawie zjednoczenia Niemiec był zaledwie jedną z iskier, podpalalających już gotową furę słomy.

— A sens moralny tej prelekcji? — spytał Skolski.

— Ten, że jeżeli naprawdę masz w sobie instynkt organizatorski, to stworzenie tak skomplikowanej fabryki jak cukrownia, powinna cię zadowolnić — odparł Dębicki.

— Jak to zaraz znać, że profesor nie dotknąłeś się tej rzeczy praktycznie!... — zawołał Solski. Gdyby ci przyszło słuchać nieskończonych narad o cenie i dobroci wapna i cegły, o głębokości fundamentów, wyborze machin, wynagrodzeniu murarzy i gatunkach buraków zapomniałbyś pan o swoich ideałach. A gdyby ci jeszcze dzień po dniu kładziono w głowę, że praktyczniej jest zachęcić sąsiadów do plantacji buraków, aniżeli uprawiać je samemu, bo się na tem więcej zarabia; gdyby ci skakano do oczu, że chcesz psuć robotników, czyli płacić im lepiej; gdyby w kontraktach z przedsiębiorcą murarskim, ciesielskim i tak dalej, podsuwano kruczki, przez które ludzie ci musieliby pójść z torbami, dopiero poznałbyś, co to jest interes przemysłowy. To nie żyjący posąg, ale ordynarna machina do wyciskania dywidendy z buraków, robotników i rolników... To nie organizm, ale potworny młyn, w którym mielą się ludzkie istnienia...

Dębicki spokojnie wysłuchał mowy, z takim wypowiedzianej ogniem, że zdawało się, iż porusz ła gałęzie starych drzew, zaglądających z ogrodu na balkon. A gdy Solski umilkł, on zaczął:

— Rutyna pomocników i tysiączne szczegóły fabryki zasłaniają ci jej całość. Nie dziwię się twoim upadkom na duchu: jesteś jak człowiek zbłąkany w lesie, który widzi tylko drzewa i drzewa, stracił kierunek, a już wcale nie myśli o tem, ile zajmuje miejsca ów las i jaką ma formę? Otóż jest to najwłaściwsza chwila, ażebyś, zamiast zniechęcać się, spojrzał wyżej. Przez jakiś czas nie myśl o burakach, cegle i dywidendzie, ale raczej o tem, że z całą świadomością i rozwagą, wbrew wszelkim przeszkodom i rutynie, masz obowiązek stworzyć żywy organizm, czujący i myślący organizm, z cegły, żelaza, buraków i ludzi. Masz stworzyć istotę zdrową lub chorą, która będzie rosła i rozwijała się albo umrze, i która będzie miała zupełną samowiedzę swojej pomyślności lub cierpień, swego rozwoju albo konania. I to niejedną samowiedzę, ale kilkaset, kilka tysięcy, słowem tyle samowiedz, ilu jest ludzi zainteresowanych w istnieniu twojej cukrowni..

— No... no... no!.. — przerwał Solski. Siadasz profesor na wysokiego konia.

— Jakto, więc nie wierzysz, że twoja cukrownia może być istotą żyjącą, ultra organizmem?...

— Zwietrzałe porównanie — rzekł Solski.

— Przepraszam cię — odparł Dębicki — nie jest to alegorja, ani prozopeja, lecz ten rodzaj podobieństw, które prowadzą do naukowych odkryć...

— No, no!...

— Zacznijmy od dołu. Cukrownia będzie przekształcała materjały, nie o wiele gorzej, aniżeli roślina albo zwierzę. Przez jedną bramę będziecie do niej wozili buraki, węgiel, wapno, krew bydlęcą i tak dalej. Te buraki w jednym budynku opłóczecie wodą, jak śliną; w drugim rozetrzecie je na mjazgę żelaznemi zębami, w trzecim wyciśniecie z nich sok... W czwartym, który, mówiąc nawiasowo, jak nasze płuca, będzie pochłaniał mnóstwo tlenu, poddacie sok buraczany podniesionej temperaturze.

*) Jest to ustęp z powieści znakomitego pisarza pod tytułem „Emancypantka", której druk w *Kur. Codziennym* doznał chwilowej przerwy. Wyjątek ten stanowi w sobie znamienitą całość i dla tego nie wahamy się go podać czytelnikom naszym.

Potem będziecie go łączyli z wapnem, węglem, krwią bydlęcą i innemi paskudztwami, będziecie przeciskali go przez wojłoki, albo przez walce centryfugalne. Nareszcie w innym budynku odparujecie i odlejecie w formy cukier, który wyjedzie na świat drugą bramą. Powiedzże, czy cały szereg tych procesów nie jest podobny do odżywiania się zwierząt i roślin? I czy twoja cukrownia nie przypomni ci naprzykład wiśniowego drzewa, które wchłania kwas węglany, tlen, wodę, amoniak, sole wapienne; przerabia je, rozprowadza po rozmaitych zakątkach swego organizmu i w rezultacie wyrzuca na powierzchnię kory klej wiśniowy, bardzo poszukiwany...

— Nie przeczę... Ale ja nie jestem ogrodnikiem, który ma zamiłowanie do sztucznych roślin, wytwarzających cukier.

— Dodam tu jeszcze — ciągnął Dębicki — że gdy w twojej cukrowni znajdzie się zamało lub zadużo buraków, gdy w składach okaże się ciągły nadmiar cukru, albo gdy w którym z budynków fabrycznych będą niedokładnie odbywały się właściwe procesy, cukrownia zacznie chorować. Robotnicy zmizernieją, liczba ich zmniejszy się, tętno ruchu osłabnie; potem mogą nawet opustoszeć budynki, pękać ich ściany i w końcu walić się jak konary spróchniałego drzewa. Możliwość śmierci jest także dowodem życia.

— Ależ, kochany profesorze, mnie nic nie obchodzi takie życie, które polega na trawieniu i wydzielinach, w razie zaś najefektowniejszym — na śmierci... Ja, jeżeli mam być działaczem społecznym, chcę mieć do czynienia z duszą i to duszą zbiorową. Słyszysz?... — nalegał Solski.

— Z duszą? — powtórzył Dębicki. — Właśnie o niej będę mówił i przekonam cię, że nawet w dzisiejszych fabrykach istnieją dwie kapitalne władze duszy: wola i myśl. Wola na najniższym szczeblu objawia się odruchami odsiebnemi i dosiebnemi, które już spotykamy u wymoczków. Czy zaś nie zgodziłbyś się na to, że owi furmani i ich wozy, które będą zwoziły buraki, a wywoziły cukier, że oni przy twojej fabryce będą spełniali rolę tych niestałych rzęs i macków, które na chwilę wyrastają z ciała pierwotniaków i chwyciwszy zdobycz, znikają?... Wyższym szczeblem woli są nałogi. No, ale te muszą istnieć w każdej fabryce, gdzie mnóstwo ludzi spełnia swoje czynności nałogowo i gdzie jednostajne działanie machin również przypomina nałogi. Następnem piętrem woli jest praca twórcza, w której odruchy i nałogi porządkują się według pewnego celu. W fabryce przedstawicielami takich celów są specjalni majstrowie, pod których kierunkiem oddziały robotników dziś płuczą buraki, jutro je rozcierają, pojutrze wyciskają... Szczytem nareszcie woli jest cel panujący fabryki, który streszcza się w jej dyrektorze technicznym. Przechodzę teraz do myśli. Jej fundamentem są wrażenia świata zewnętrznego, a organami tych wrażeń dla was są agenci, dowiadujący się o cenach cukru, buraków, węgla, drzewa, robocizny. Wyżej wznosi się pamięć, jej zaś organem będą w cukrowni spisy inwentarza, płacy roboczej, wydatków na materjały, wpływów za towar... Pracę twórczą myśli chyba pomieścisz w laboratorjum waszych chemików, w biurze technicznem i administracyjno handlowem. A nareszcie ideę panującą, która ogarnia całe życie fabryki, jej rozwój i wahania — może reprezentowałbyś ty sam, gdybyś w swojej cukrowni widział nie prasę do wyciskania dywidend, ale organizm, który ma spełniać jakieś cele na świecie... Dodaj teraz, że każda z istniejących fabryk ma swoją indywidualność. Są tego rodzaju instytucje, logiczne i głupie, rzetelne i szachrajskie, wolne i spętane przez wierzycieli, moralne i niemoralne. Pomyśl o tem wszystkiem i powiedz, czy poza burakami, wytłoczynami, melasą i dywidendą nie dostrzegasz wielkich konturów ducha, który tem tylko różni się od ludzkiego, że zamiast jednej świadomości, ma ich kilkaset?

— Ale nie ma współczucia i litości — powiedział Solski.

— Mylisz się — wtrącił Dębicki. Dzisiejsze fabryki, bezwątpienia, są jeszcze bardzo niskiemi organizacjami, niema w nich nie tylko rozwiniętych uczuć, ale nawet świadomej myśli i woli, które zastępuje ślepa rutyna, jak w ulach, albo mrowiskach. Czy nie sądzisz jednak, że dzisiejsze zamęty w świecie pracy może nie istniałyby, gdyby w fabrykach tętniło żywe uczucie? gdyby smutek, spotykający jednego pracownika, udzielał się innym; gdyby kierownicy troszczyli się o usuwanie przykrości, a nasuwanie przyjemności wykonawcom? Żyjemy zresztą w epoce, kiedy w fabrykach zaczyna kiełkować ów uczuciowy element. Bo czemże innem wytłómaczysz szpitale, szkółki i ochrony dla dzieci, doroczne i tygodniowe zabawy, kasy zapomóg, a nawet orkiestry?... Żadne z tych urządzeń ani pomnoży ilości wydobytego cukru, ani powiększy dywidendy; do czegóż więc je odnieść, jeżeli nie do budzącego się uczucia w tym duchu, który unosi się nad kotłami i machinami?

Solski nagle uderzył się w czoło...

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

(Ciąg dalszy.)

— Aj panie prezydencie, wtedy było co innego a dziś znów co innego.

— No?!

— Wtenczas on chciał komisji dla miasta, dziś jemu samemu inna komisja w głowę zajechała.

— Co znowu?

— Niby to pan prezydent nie wie; on chodzi do regenta prawie codzień, a po co on tam chodzi? pewnie nie po to, żeby chciał regenta tak często widzieć.. On się ożeni...

— Z kimże u licha?!

— Z siostrą regentowej... To bardzo fajn wdowa, warszawska elegantka, wygląda jak hrabina...

— Alež to młoda kobieta!

— Właśnie dlatego... przecież, z przeproszeniem pana prezydenta, stare baby za mąż nie wychodzą.

— No tak, lecz on sam jest stary.

— Nie bardzo...

— Dziad!

— Co to znaczy?! U nas przed rokiem ożenił się jeden wdowiec, co ma więcej niż ośmdziesiąt lat... pan prezydent go zna... Mojsie Pikes.

— A, ten, co ma sklep z żelazem?

— Ten sam; on nabożny jest i przez to nie chciał być bez żony... Ożenił się... oj, oj, jakiego on delikatnego synka ma! Pan Dezydery wcale stary nie jest... on tak ostro chodzi na spacer, z takim rozmachem, jak wielmożny pan prezydent, a może jeszcze lepiej...

— W każdym razie.. żeby się w tych latach żenić!! warjat...

. . . .

Całe miasto o tem mówiło. Na wzmiankę o Dezyderym pani Stefanja skromnie spuszczała oczy, regentowa przybierała minę tajemniczą, a małżonek jej odpowiadał wymijająco.

— Nie wiem, panie dobrodzieju, nic nie wiem... aczkolwiek ewentualność taka, z mojego punktu widzenia, nie byłaby niemożliwą.

Panny piskorzewskie spoglądały na panią Stefanją niechętnie; gdyż bądź co cądź polowała ona w cudzej kniei.

Spadła na ciche miasteczko jak bomba, olśniła wszystkich szykiem i elegancją, wywołała istną rewolucję w sferze toalet i kostjumów i nie dość na tem, zabiera jeszcze Dezyderego, najlepszą partję w całem mieście!..

Dezydery, teraz kiedy miał być już dla panien stracony na zawsze, zyskał ogromnie w ich oczach. Uznały jednozgodnie, że jest on wcale nie stary, wcale nie brzydki, a nawet przystojny, że ma bardzo szlachetny charakter, że nawet bez majątku mógłby uszczęśliwić młodą osobę, a cóż dopiero z taką piękną willą, z funduszami...

Przyjazd pani Stefanji i jej kokieterja, stały się przedmiotem powszechnego oburzenia, a pan Wincenty, były podsędek, emeryt, mający trzy córki na wydaniu, powiedział, że postępowanie pani Stefanji i zabranie pana Dezyderego, powinno być karane jak rozbój w celu grabieży, a przynajmniej, przy szczególnem uwzględnieniu okoliczności łagodzących, jako kradzież z włamywaniem.

— Tak, czy owak — mówił ex-sądownik do żony — jest to czyn, który aczkolwiek nie przewidziany przez kodeks kar głównych i poprawczych, czuć jednak z daleka kryminałem...

Matka i córki były tego samego zdania i każda z nich w myśli nazywała panią Stefanję zbrodniarką.

Całe miasto zajęte było losem przyszłej pary, a pan Dezydery ciągle zapraszany, ciągle przyjmowany serdecznie, prawie codzień wieczorem do regentowstwa przychodził...

Te kobiety zaczynały godzić go ze światem; rozmawiając z niemi, słuchając gry i śpiewu pani Stefanji, zapominał o swoich troskach, i był szczerze wdzięczny paniom za kilka pogodniejszych chwil w życiu samotnem, za rozweselenie w żalu.

Trzeba przyznać, że nieraz zastanawiał się nad pytaniem, w jaki sposób mógłby im odpłacić ich poświęcenie i dobroć. Myślał o uczynieniu zapisu w testamencie na rzecz regentowej i Stefanji, ale chciał to zrobić tak, żeby nie zaraz dowiedziały się o tem, żeby mu nawet podziękować nie mogły.

Raz taką właśnie myślą zajęty, wracał już dosyć późno od regentowstwa do domu i spostrzegł, że w pierwszym pokoju pali się światło... Czyżby Wojciechowa do tej pory pracowała?

Wszedłszy zastał babę drzemiącą na krześle...

— A dyć czekam na pana, rzekła przebudzona.... i doczekać się nie mogę.

— Cóż się stało?

— Ha, nic panie. Służyłam za nieboszczki pani bez siedem lat, pilnowałam pańskiego dobra jak pan był za morzami, bez drugie siedm, potem znów z panem bez trzecie siedm, to razem dwadzieścia jeden. Zasług wybrałam po trochu za pięć lat, więc mi się należy za szesnaście... Właśnie chciałam prosić, żeby mi pan wypłacił z łaski swojej.

— Teraz? w nocy?!

— A juści — jutro raniuteńko żydy jadą, więc się z nimi zabieram.

— Dokąd? po co?

— Do Warszawy, panie — już ja tu nie mam co robić...

— Kobieto! co ty mówisz!

— Byłam dobrą i wierną sługą dla nieboszczki pani, byłam taką i dla pana, i pozostałabym do śmierci, ale nowej pani nie dogodzę.

— Jakiej nowej pani? Wojciechowa, dodał surowo, jeżeliś się upiła, idź spać.

— Ja się upiłam! — zawołała baba — ja! chyba onym żalem, co go mam w sercu; chyba onymi łzami, com je po kryjomu wylała... Toż całe miasto mówi, że się pan żeni; całe miasto aż się trzęsie... Gdzie się obrócić: żydówki po sklepach, służące na ulicy, przekupki na targu, przejść nie dadzą, tylko pytają: — a kiedyż wesele? kiedy wesele? Wyprzysięgam się jako żywo, że o niczem nie wiem, a oni mi fałsz w żywe oczy zadają... śmieją się ze mnie! Z początku myślałam, że to plotka, ale teraz widzę, że prawda... Co mi tam do tego, chce się pan żenić, wola pańska, daj Boże szczęśliwie... ale ja na tych godach nie będę. Mam córkę chrzestną w Warszawie, dobra kobiecina, na Krzywem Kole sklepik trzyma; do niej pojadę i tam przebieduję do czasu, dopóki pan Jezus nie zawoła...

(Ciąg dalszy nastąpi.)